



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

KURIER POLSKI

A

00-018 Warszawa, ul. Hłubna 11

wydanie

Nr 36 z dn. 14-02-78

TEATR

W ognie

komety

O D paru dziesiątków lat na polskim niebie teatralnym świeci dramaturgia Stanisława Ignacego Witkiewicza jako gwiazda pierwszej wielkości. Dzieła napisane przed pol wiekiem, zrazu dostrzegane tylko dla niektórych, stały się dopiero teraz bliskie nam i zrozumiałe, rozbiły się niby rosnąca kometa. Lecz komety, jak wiemy, składają się z jądra o mocnym blasku i ngławicowatego ogona. W danym wypadku do jądra należą te u scenizacje, które rzeczywiście przekonują dzisiejszego widza do spuścizny po Witkacym. Obawiam się, że „Dramat nie rozpoznany” grany obecnie w Teatrze Małym, w opracowaniu tekstu i reżyserii Tadeusza Minca, z muzyką Jacka Sobieskiego i w scenografii Andrzeja Sadowskiego – nie wchodzi w skład jądra. Raczej, jeśli dalej snuć porównania z kometa, zaliczyłbym go do pyłów jej ogona.

Coż... Wprowadzenie na scenę dzieła tak w rękopisie uszkodzonego, że nie zachował się ani początek, ani koniec, ani nawet tytuł, jest chwalebny czynem repertuarowym, ale rodzi zbyt wiele kłopotów, aby wybrnąć między pietyzmem a samowolą, tam gdzie trzeba sztukować podniszczony tekst... W programie jest lojalnie podane, że posłużono się tekstami z innych dramatów i pism autora, czyli sztukując rzecz fragmentami z podobnej materii. To nie razi. Ale wprowadzenie ramy kompozycyjnej z cudzej relacji o śmierci autora jest zgrzytliwe, bo z innej substancji. Jest na serio realistyczną obwołutą do dialogów nasyconych filozoficznym sprowadzaniem do absurdu.

Tęgo rzeczywistego podcięcia sobie żył przez mistrza trudno pogodzić z burzą irazosów, która służy jako tworzywo witkacemu, przynajmniej w tej bardzo ironicznej sztuce bez tytułu. Domyslamy się o co szło inscenizatorowi: zginęła klamra kompozycyjna w zbutwiałym i postrzępionym brulionie i chciało się rzecz czymś podeprzeć. Ale sędzę, że i bez tej klamry, przewrotnie pomysłowe sytuacje w ocalałych fragmentach tekstu, mogły mieć swój wyraz. Dodam, że w tym ujęciu scenograficznym i interpretacyjnym mogły nawet rozszerzać nasze pojęcie o palecie Witkacego, mianowicie dać świadectwo jego pogoniom także za... farsą. Bo gdyby nie podyktowane przez reżysera Gustawowi Kronowi w roli Józefa przeżywanie bardzo na serio straszliwych tortur fizycznych i moralnych, prawdziwych i urojonych, na jawie i we śnie, na świecie i w zaświatach, i nie ta ramka biograficzna cudzego pióra, zagrana bynajmniej nie do śmiechu przez Krzysztofa Wakulińskiego – byłibysmy gdzieś w rejonach operety (proszę odróżnić od operetki).

Znakomite są zgrywy Bohdany Majdy w roli dobroliwej służącej, której pan zrobił dziecko i Ewy Zukowskiej w roli Zofii – pani, która aplikuje drugiemu mężowi umiejętności nabyte przy pierwszym, by powrócić po pięciu latach do pierwszego jak pokorna gaska. Wystudowali celnie sylwetę rodzajową Lech Komarnicki w roli Hrabiego, dystyngowanego starszego pana polującego na całkiem jasne posługi ze strony dziewczęcia wiadomego prowadzenia się. Marlena Miarczyńska postać tej dziewczyny podstylizowała na lata międzywojenne. Janina Nowicka bardziej uogólniła subretkowaną postać Elizy, była rzekibys „polską gejszą” o jakiej marzyłby Boy. Janusz Kłosiński w sposób wiarygodny gra nie-

frasobliwego sędziego. Mieczysław Hryniewicz w roli Szulera i mógłby się doskonale znaleźć w ramach tzw. bulwarowej komedyjki. Wiktorowi Zborowskiemu było bardzo blisko do Offenbacha, jako Głosowi (z niebiosów) Tylko Marek Wojciechowski w roli Szulera II wprowadzał przekonującą niesamowitość do tej dzieckiej zabawy. Jaką mogłoby stać się to przedstawienie w oparciu o nawet postrzępiony tekst, gdyby było zborniejsze inscenizacyjnie.

JERZY ZAGÓRSKI